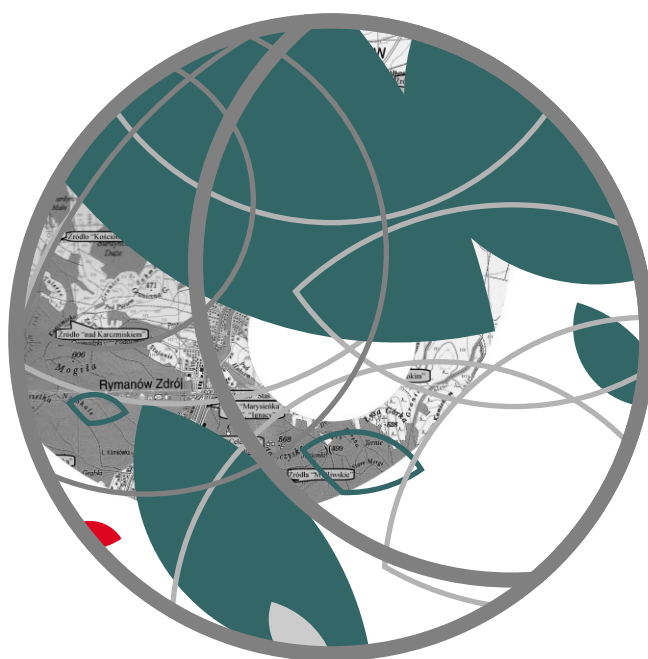


# ROCZNIK RYMANOWA ZDROJU

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU



130 LAT ODKRYCIA ŹRÓDEŁ RYMANOWA ZDROJU

TOM IX 2006

## Szlaki kurierskie II Wojny Światowej (Na nowej trasie „JAGA”)

**Opracowanie:** *Zygmunt Pelczar*

**Szlaki kurierskie w czasie II wojny światowej wiodły poprzez różne tereny państwa polskiego. Jeden z nich przebiegał przez Rymanów Zdrój. Podążający nimi kurierzy, odważni i prawi Polacy z narażeniem zdrowia i życia nieśli wolność Polsce. W niniejszym artykule przedstawiłem wspomnienia jednego z nich, kuriera Komendy Głównej AK Jana Łożańskiego pseudonim "Orzeł". Składam serdeczne podziękowania pani Władysławie Łożańskiej, żonie bohaterskiego kuriera z Sanoka za udostępnienie wspomnień męża - Jana Łożańskiego.**

Na nowej trasie "JAGA"

Po pierwszym przejściu do Polski przez Zakopane doszedłem do wniosku, że trasa ta mi nie odpowiada. Czuję się tu obco, nie znam ludzi i terenu, zniechęciły mnie te zdekonspirowane meliny. Zwróciłem się więc do pułkownika "Radosława" Mazurkiewicza z prośbą o wyznaczenie mnie na inną trasę, tak abym w Polsce wychodził na teren powiatu sanockiego. "Radosław" odpowiedział, że takiej trasy nie ma, ale przyniósł dużą mapę i zaczęliśmy obaj dokładnie ją analizować. Chętnie zgodził się na zorganizowanie nowej trasy przez wschodnią Słowację i polecił mi to zadanie. Zaznaczył również, że jak na razie nie ma tam żadnych kontaktów, zarówno na Słowacji, jak i po stronie polskiej i węgierskiej. Jedynie w Garany i w miejscowości w pobliżu węgiersko-słowackiej granicy znajduje się obóz polskich uchodźców i tam mogę oczekiwać pomocy.

Analizując mapę zaprojektowaliśmy nową trasę przez miasto Satoraljaujhely dokąd dojechać było można pociągiem, następnie Garany, w pobliżu której to miejscowości trzeba byłoby przekroczyć granicę węgiersko-słowacką i dalej kierować się do Banowiec nad Ondawą lub do Malczyc albo Trebiszowa. W miejscowościach tych trzeba będzie znaleźć kontakty aby dalej przez Michalowce, Humenne, Medzialborce, Borov i Haburę dotrzeć do granicy słowacko-polskiej, gdzie płynie strumyk dochodzący do samej granicy i w tym miejscu najlepiej będzie dostać się na teren Polski pomiędzy wioskami Wola Wyżna a Rudawka Jaśliska. Dalej dojedzie się do dużego kompleksu leśnego "Szachty", wzdłuż którego ciągnie się wieś Polany Surowiczne. Następnie koło wsi Wołuszowa trzeba minąć po lewej stronie Królik Polski i Deszno i tak dojedzie się do Rymanowa Zdroju.

Tak więc wyglądał projekt nowej trasy, którą trzeba było odpowiednio zorganizować. Oczywiście zakładaliśmy zaraz na wstępie, że trzeba ją będzie dostosować do panującej sytuacji. Kiedy dwaj moi koledzy, z którymi przyszedłem na Węgry, Jasio Nowak i Bronek Przybylski dowiedzieli się o projektowanej nowej trasie zdecydowali się iść ze mną. Z tego się bardzo ucieszyłem, bo wszyscy trzej doskonale znaliśmy teren po stronie polskiej.

Na początek dostaliśmy do przeniesienia do Polski po milionie złotych polskich. Ponadto dostaliśmy pisemne skierowanie do obozu uchodźców polskich w Garany i zaraz następnego dnia, z dworca wschodniego w Budapeszcie, pojechaliśmy pociągiem pośpiesznym przez Miskolc do Satoraljaujhely,

gdzie przybyliśmy wieczorem. Następnie autobusem dojechaliśmy do Garany i oficjalnie zameldowaliśmy się u komendanta obozu. Nieco później skontaktowaliśmy się z kapelanem obozu księdzem Rzepko-Łaskim, którego wtajemniczyliśmy o cel naszej podróży. Ksiądz nie zwlekając ani chwili, posłał po dwóch Słowaków, którzy niebawem, mimo późnej pory nocnej zjawili się w obozie. Byli to Geza i Tomko, mający swych krewnych po stronie słowackiej w Trebiszowie i Malczycach. Wyjaśnić tu trzeba, że ówczesna granica węgiersko-słowacka w tej okolicy została ustanowiona wiosną 1939 roku, kiedy hitlerowcy zaanektowali całą Czechosłowację i wówczas pewna część Słowacji przeszła do Węgier, stąd też wielu rodowitych Słowaków stało się obywatelami Węgier. Od tego czasu nawet Koszyce i okolica zostały wcielone do Węgier.

Powiedzieliśmy Słowakom, że musimy iść do Polski i poprosiliśmy ich o przeprowadzenie nas do Słowacji. Zaraz zorientowali się, że chodzi tu o sprawy natury wojskowej i walkę z okupantem hitlerowskim, a że sami byli antyfaszystami, bez zastanowienia się wyrazili chęć udzielenia nam jak najdalej idącej pomocy.

Ustaliliśmy, że granicę przekroczymy dopiero jutro wieczorem, ponieważ jest dość późna pora nocna i w pierw chcieli się skontaktować ze swymi krewnymi na terenie Słowacji. Tomko wyjaśnił, że teren do Malczyc jest trudny do przebycia ze względu na odwilż, która zmieniała rozciągające się tam łąki w rozległe bagna. Postanowiliśmy więc iść na Trebiszów. Geza poinformował nas, że jego krewny w Trebiszowie ma taksówkę "Tatra" i będzie nas mógł przewieźć przez Słowację, w pobliże polskiej granicy.

Dzień oczekiwania na przekroczenie granicy spędziliśmy na dokładnym zapoznaniu się z wsią Garany. Po obiedzie przyszedł Geza i oświadczył, że bez żadnych obaw możemy wieczorem wyruszać. Był w Trebiszowie, załatwił dla nas kwaterę i przejazd przez Słowację. Następnie zaprowadził nas na wysoką górę, na której znajdował się zamek, obecnie zajęty przez polskich uchodźców. Rozciągał się stamtąd widok na całą okolicę. Widać było oddalone o 5 km Malczyce i rzeczywiście teren między Garany a Malczycami pokryty był wodą. Dalej widać było Trebiszów, cel naszej nocnej wędrówki, oddalony o około 10 km. Z daleka był dobrze widoczny komin cukrowni w Trebiszowie, nieczynnej już w tym czasie, ponieważ coroczna kompania cukrownicza została już dawno zakończona.

Geza pokazał nam z góry trasę do Trebiszowa. Mieliśmy iść wałem ochronnym rzeki Ondawy, który prowadził prawie do samego Trebiszowa. Z góry było również widać, że Ondawa wezbrała i poziom wody na rzece jest wysoki. Następnie Geza pokazał nam gdzie się znajdują placówki straży granicznej. Staraliśmy się wszystkie objaśnienia Gezy jak najbardziej zapamiętać jako niezwykle ważne informacje.

Wieczorem około godziny 20.00 byliśmy gotowi do podróży. Po pożegnaniu się z księdzem i komendantem obozu wyruszyliśmy z przewodnikami Gezą i Tomkiem do Trebiszowa. Marsz wyglądał w ten sposób: Geza szedł pierwszy a około 30 metrów za nim Tomko, my zaś około 30 m za nim. Wkrótce Tomko się zatrzymał. Doszliśmy do niego i doszedł do nas Geza i powiedział, że na mostku przerzuconym przez szeroki rów melioracyjny są słowaccy strażnicy i musimy rów pokonać przechodząc w bród. Nie namyślając się wiele zdjęliśmy ubrania, przypięliśmy je do plecaków i unosząc bagaż nad głowami przeszliśmy przez lodowatą wodę, która sięgała nam do piersi.

Szybko oddaliliśmy się od rowu, obawiając się, że plusk wody mógł zaalarmować strażników i dopiero po przejściu około 200 metrów włożyliśmy ubrania i buty. Dalej już bez przeszkód doszliśmy do krewnego Gezy. Byli tam w tym czasie goście, więc nie chcąc nas narażać, umieścił nas w suterynie gdzie stało tylko jedno łóżko.

Po kąpieli w lodowatej wodzie, było nam teraz gorąco i nie odczuwaliśmy chłodu nocy. Geza i Tomko pożegnali się i szybko udali się w drogę powrotną. Zostaliśmy sami.-Samochód mający nas odwieźć w pobliże słowacko-polskiej granicy miał być o północy. Rzeczywiście nasz gospodarz i taksówkarz w jednej osobie, o północy zszedł na dół i zapalił samochód.

Wsiadliśmy szybko do samochodu i ruszyliśmy w drogę. Zaledwie minęliśmy Michalowce, samochód stanął. Okazało się, że nawaliła guma a naprawa trwała około pół godziny i pojechaliśmy dalej. Przed Humennem silnik samochodu zaczął odmawiać posłuszeństwa i znów stanęliśmy. Naprawa trwała kilkadziesiąt minut. To nas bardzo zdenerwowało. Kiedy ruszyliśmy to niedaleko Wyżnej Czabiny w pobliżu ruin klasztoru znowu dziura w oponie. Naprawa znowu trwała ponad pół godziny. Było już jasno i mogliśmy w całej okazałości zobaczyć nasz pojazd. Opony były zupełnie łyse, jedne drzwiczki umocowane drutem. Gdybyśmy go widzieli wcześniej, żaden z nas nie odważyłby się aby wsiąść do takiego grata.

Zaczęliśmy się zastanawiać co robić, czy zrezygnować z dalszej jazdy samochodem i już dalej iść pieszo, czy też czekać aż kierowca naprawi koło. W końcu wybraliśmy to drugie. Do granicy było jeszcze około 20 kilometrów a leżał głęboki śnieg, więc taki marsz bardzo by nas wyczerpał fizycznie na zbyt długim odcinku. Do tego spotkanie z żandarmerią stało by się nieuniknione albo ze strażą graniczną. Koniecznie trzeba było przez Słowację jak najszybciej przejść i to niespostrzeżenie. Ta trzecia przerwa była najdłuższa i kiedy ruszyliśmy byliśmy bardzo zdenerwowani. Mijając Medzilaborce i Borov zbliżaliśmy się do Habury i przed tą miejscowością zatrzymywało nas trzech mężczyzn, ale ponieważ byli to cywile, więc kierowca nie zatrzymał się.

Wreszcie minęliśmy Haburę i dojechaliśmy do potoku, który zgodnie z mapą miał biec do granicy. Tu wysiedliśmy i przed pożegnaniem się z kierowcą ustaliliśmy z nim aby za tydzień czekał na nas koło ruin klasztoru w Czabinie Wyżnej.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu ukryliśmy się w krzakach rosnących wzdłuż strumyka i tam odpoczęliśmy około pół godziny i studiując mapę ustaliliśmy, że do samej granicy jest już tylko 1 km.

Idąc w stronę granicy, szliśmy bardzo ostrożnie i wolno i po chwili ujrzeliśmy słupy graniczne. Po stronie polskiej rozciągała się szeroka polana, więc nie było to stosowne miejsce do przekraczania granicy. Rozglądaliśmy się bacznie i zauważyliśmy, że w odległości około 50 metrów jest las dochodzący prawie do samej granicy, gdzie łatwiej i bezpieczniej jest przekraczać granice pod osłoną drzew.

Przechodząc na polską stronę z wielką czcią ucałowaliśmy graniczny słupek i tak powitaliśmy naszą ukochaną i umęczoną Polskę. Było niezwykle cicho, na śniegu żadnych śladów, więc uspokojeni znów wyjęliśmy mapę. Potok, wzdłuż którego szliśmy, płynął dalej między wioskami Wola Wyżna a Rudawka

Jaśliska. Dla upewnienia się wyszedłem na wzgórze i rzeczywiście zobaczyłem domostwa Woli Wyżnej.

Pogoda była przepiękna, dymy z kominów szły prosto w górę, psy we wsi czekały jakby wyczuły naszą obecność.

Drogę łączącą wieś Rudawka Jaśliska i Wola Wyżna przeskoczyliśmy bardzo szybko i znów ukryliśmy się pod osłoną lasu. Następnie znów biegiem przez drogę z Woli Niżnej do Moszczańca i znaleźliśmy się w lesie o nazwie "Szachty". Skrajem lasu doszliśmy do wsi Polany Surowiczne i mijając te wieś bokiem weszliśmy na górę, która rozciągała się równoległe do zabudowań. Ukryci za szczytem tej góry doszliśmy do następnego wzniesienia zwanego "Dział II" położonego w południowej części wsi Wisłoczek. Byliśmy już bardzo zmęczeni, ja zaś czułem się zupełnie wyczerpany. Z emocji nie jadłem nic od kolacji poprzedniego dnia. Po krótkim odpoczynku i zjedzeniu czekolady z orzechami i dwóch pomarańczy, wstąpiły we mnie nowe siły.

Schodzenie z "Działu" sprawiło nam wiele trudności. Śnieg był tu głęboki i sięgał powyżej kolan. Marsz stawał się coraz wolniejszy. Teraz naszym przewodnikiem był Broniek Przybylski, znający doskonale tę okolicę.

Idąc w kierunku Rymanowa spotkaliśmy przy drodze kapliczkę, przy której pomodliliśmy się szczerze dziękując Bogu za szczęśliwe dojście do naszego rodzinnego kraju.

Zapał już zmrok, kiedy byliśmy koło Wołtuszowej. Broniek prowadził nas dróżką biegnącą wzdłuż rzeki Tabor do samego Rymanowa. Zaprowadził nas do swej siostry gdzie znaleźliśmy tak upragnione ciepło i odpoczynek. Po zjedzeniu kolacji zaczęliśmy analizować przebytą drogę. Byliśmy zadowoleni z przebiegu trasy i wszyscy byli zdania, że koniecznie trzeba zmienić samochód i znaleźć kwaterę w Haburze. W Polsce kwatery powinny znajdować się w Rymanowie Zdroju lub w Posadzie Górnej.

Nazajutrz Jasio udał się do Długiego, ja zaś pojechałem do Nowosielec do państwa Małków. Wieczorem umówiliśmy się na wspólną podróż do Krakowa, gdzie Jasio miał zostawić pieniądze. Wsiadłem do pociągu w Nowosielcach i zająłem też miejsce dla Jasia, który dosiadł się w Zarszynie.

Bez żadnych przeszkód dojechaliśmy do Krakowa i ja dalej do Warszawy, gdzie oddałem pocztę i wróciłem do siostry Bronka w Rymanowie. Po wykonaniu zadania byliśmy znowu wszyscy na miejscu by powrócić na Węgry.

Jednak przed wyruszeniem na Węgry znaleźliśmy jeszcze kwaterę w Posadzie Górnej u znajomej Bronka pani Franciszki Różowicz. Wstąpiliśmy do niej po drodze. Pani Różowicz była osoba szczupłą niskiego wzrostu. Mieszkała z córką Ludwisią i synem Kubą i sama była wdową. Bez chwili wahania wyraziła zgodę aby jej dom służył jako kwatera dla kurierów z Budapesztu. Pani Różowicz jak i jej dzieci zostali zaprzysiężeni a sama gospodyni przybrała pseudonim "Babcia".

Wracając na Węgry udoskonaliśmy trasę. Skróciliśmy zejście z góry "Dział" idąc południową stroną wsi Polany Surowiczne do lasu "Szachty". Wieś Wolę Wyżną przeszliśmy w okolicy cerkwi i prosto skierowaliśmy się ku granicy. Szliśmy teraz otwartą przestrzenią nie kryjąc się w krzakach, przez to marsz był łatwiejszy, jednak bardziej niebezpieczny. Uznaliśmy jednak, że nocą nie trzeba zachowywać aż tak dużej

ostrożności.

Również na Słowacji znaleźliśmy łatwiejszą drogę schodzącą z granicy w kierunku Habury i Czertyżnego. Byliśmy już solidnie zmęczeni, ale nie mogliśmy się zatrzymać, bo obudziliśmy psy we wsi, które zaczęły głośno szczekać. Zmuszeni byliśmy szybko przejść przez rzekę Laborec i skryć się za wysoką górę. Tam chwila odpoczynku i dalej marsz lasem ciągnącym się wzdłuż drogi Habura - Medzilaborce.

W lesie leżał głęboki śnieg i straciliśmy sporo sił i czasu, zanim przebyliśmy tę ciężką trasę. Robiliśmy coraz częstsze i dłuższe odpoczynki. Wreszcie minęliśmy wieś Krasny Brod i około godziny 14-tej doszliśmy do ruin klasztoru w Wyżnej Czabinie. Tutaj na godzinę 16-tą miał przyjechać po nas umówiony taksówkarz. Ukryliśmy się w pobliżu szosy w starym korycie rzeki Laborec, odpoczęliśmy trochę i kiedy zaczęło się zmierzchać wsłuchiwalismy się w odgłosy dochodzące z drogi. Każdy warkot silnika wydawał się nam odgłosem "naszego" samochodu. Wreszcie od strony Humennego usłyszeliśmy typowy warkot silnika "Tatra" i auto przystanęło przy ruinach klasztoru. Poczekaliśmy jeszcze chwilę aby się upewnić, że to nasz taksówkarz. Samochód zawrócił i znajomy kierowca wysiadł, podniósł maskę i pochylił się nad silnikiem udając, że coś reperuje. Wtedy całkiem już pewnie wyszliśmy z lasu. Zbliżając się do samochodu nie wierzyliśmy własnym oczom, że ten grat zmienił się znacznie. Miał nowe opony i solidnie umocowane drzwi. Witając się z nami, kierowca zapewnił nas, że do Trebiszowa dojedziemy bez żadnych awarii. Tak też się stało. W Trebiszowie zaprosił nas do swego domu, gdzie zjedliśmy smaczną i sutą kolację i oczekiwanie na Gezę i Tomka skracaliśmy sobie pogawędką, oczywiście o polityce.

Nasi przewodnicy spóźniali się. Minęło już dwie godziny od umówionej pory spotkania, więc postanowiliśmy iść sami. Słowak odprowadził nas do mostku na rowie melioracyjnym, na którym tym razem nie było strażników.

Zadowoleni, że tym razem uniknęliśmy zimnej kąpieli szybko przeszliśmy przez mostek i dalej maszerowaliśmy wałem, co pewien czas zmieniając się w pilotowaniu. Po pewnym czasie zeszliśmy poniżej wału i posuwaliśmy się wzdłuż rosnących tam wierzb, pilnie obserwując dróżkę biegnącą górą wału. W pewnej chwili zauważyliśmy dwie postacie zbliżające się ku nam. Ukryliśmy się za wierzbami i obserwowaliśmy je. Kiedy się zbliżyli rozmawiając ze sobą beztrąsko, poznaliśmy, że są to Geza i Tomko.

Wyszliśmy z ukrycia a oni w pierwszej chwili przestraszyli się, lecz później byli zadowoleni z tego spotkania. Swoje spóźnienie tłumaczyli tym, że granica na tym odcinku była patrolowana przez węgierską straż graniczną i trzeba było czekać aż patrol wróci.

Teraz pilotował nas Geza i szybko minęliśmy Garany aż doszliśmy do zamku gdzie znajdował się obóz polskich uchodźców. Ksiądz Łaski powitał nas z uśmiechem, ciesząc się z naszego powrotu wyciągnął butelkę znakomitego węgierskiego wina, którą wypiliśmy razem ze Słowakami.

Wyjazd z Garany stał się jednak trudniejszy. Niemcy naciskały na władze węgierskie, aby uniemożliwiały wyjazd Polaków z obozów internowanych do armii tworzącej się we Francji.

Na stacji autobusowej w Garany kontrolowano wszystkich wyjeżdżających, więc trzeba było dostać się w



inny sposób do Satoraljaujhely aby stamtąd jechać koleją do Budapesztu. Do Satoraljaujhely pojechaliśmy następnego dnia furmanką, omijając wioskę. Baraszi, gdzie mieściły się placówki straży granicznej i węgierskiej żandarmerii zwanej żartobliwie "Kogutami".

Furmankę zamówił dla nas nieoceniony Geza. O zmierzchu byliśmy w Satoraljaujhely i zgodnie ze wskazówkami księdza Łaskiego zatrzymaliśmy się u państwa Grossów. Była to polska rodzina posiadająca kilka hektarów winnic i duży dom. Pani Grosse mieszkała tam z córką Magdą i zameźną Marią, która właśnie niedawno wróciła z mężem z Polski. Syn pani Grosse Janek mieszkał na Salwatorze w Krakowie i zajmował się handlem winem mszalnym. Skład tych win znajdował się w Krakowie w Rynku.

W Satoraljaujhely oprócz państwa Grossów mieszkało jeszcze kilkoro Polaków. Była to rodzina Skibów mająca syna Wiesia i córkę Basię. Major Włodzimierz Abłamowicz - inwalida z 1-szej wojny światowej i pan Józef Pietruszka.

Na ich pomoc można było zawsze liczyć, szczególnie jeśli trzeba było skorzystać z kwatery. Chętnie też udzielał pomocy taksówkarz pan Skorupski, który jak powiedział ksiądz Rzepko-Łaski, był bardzo dyskretny i wtajemniczony w nasze polskie sprawy.

Zatrzymaliśmy się u państwa Grossów i poprosiliśmy, zgodnie z pouczeniem księdza Łaskiego, panią Magdę o wykupienie biletów, aby na stację przyjść tuż przed samym odjazdem pociągu.

Pani Grosse przyjęła nas bardzo serdecznie. Żałując, że nie wstąpiliśmy do niej idąc do kraju, bo podała by synowi trochę dolarów. Zapewniliśmy ją, że idąc następnym razem na pewno wstąpimy. Tuż przed odjazdem pociągu poszliśmy na stację kolejową odprowadzani przez panią Magdę.

Do Budapesztu dojechaliśmy bez przeszkód i zaraz zgłosiliśmy się na Donati utca 12 w Budzie. Pułkownik "Radosław" - Mazurkiewicz przyjął nas natychmiast i z uwagą wysłuchał relacji. Szef był bardzo zadowolony z naszych opowiadań i zauważył, że konieczna jest kwatera w Haburze, bo pokonywanie trasy z Rymanowa do Wyżnej Czabiny jest stanowczo za uciążliwe i tym samym zbyt niebezpieczne.

Na razie otrzymaliśmy polecenie aby dobrze wypocząć. Wręczono nam dowody osobiste na nowe nazwiska i skierowano do pensjonatu. Uprzedzono nas również, aby być bardzo ostrożnym podczas rozmów, bo gestapo usilnie stara się nas rozpracować.

Mając teraz wiele wolnego czasu zwiedzaliśmy piękny Budapeszt, którym byliśmy urzeczeni, a szczególnie widokami z Góry Gellerta i Góry Janosza. Po kilku dniach odpoczynku zameldowaliśmy się znowu na Donati utca. Otrzymaliśmy polecenie pójścia do Kraju i w trójkę doskonalenia trasy tak, aby w przyszłości każdy z nas mógł już chodzić oddzielnie jako przewodnik. Mieliśmy również zanieść do Polski po milionie złotych każdy. W razie wyspy mieliśmy powiedzieć, że ukradliśmy te pieniądze z obozu i wracamy do kraju. Otrzymaliśmy też fikcyjne skierowanie do obozu w Garany.

W przeddzień wyjazdu spotkaliśmy księdza Łaskiego, który załatwiał sprawy przerzutu kilkunastu młodych chłopców z Garany do Budapesztu. Bardzo się ucieszył wiadomością o naszym wyjeździe do Polski, bo miał pilną sprawę do przekazania dla kardynała Sapiehy.



Mając przepustkę dojechaliśmy do Garany bez przeszkód, mimo dwukrotnej kontroli dokumentów przez "Kogutów". U księdza Rzepko-Łaskiego oczekiwali już na nas nasi przewodnicy Geza i Tomko. Po krótkiej naradzie Tomko oświadczył, że pójdziemy tym razem przez Malczyce, bo łąka już na tyle obeschła, że można już nią było przejść. W Malczycach mieliśmy się zatrzymać u rodziny Tomków. Wyruszyliśmy około godziny 23-ciej i o wpół do pierwszej w nocy doszliśmy tam.

Tomkowie to bardzo solidna i zacna rodzina w Malczycach składająca się oprócz dwojga rodziców z trzech synów Imrego, Michała i Joszka, który pełnił funkcję naczelnika stacji w Banowcach nad Ondawą, oraz dwóch córek Mariki i Heleny, która była niewidoma. Oczekiwano nas tam z solidną i obfitą kolacją składającą się z pieczonej kaczki oraz innych smakołyków. Wszyscy byli bardzo ciekawi bo nigdy wcześniej nie spotkali się z Polakami.

W Malczycach znajdowała się placówka straży granicznej, ale rodzina Tomków cieszyła się takim poważaniem, że przez nikogo nie legitymowani, wyjechaliśmy furmanką z Michałem o godzinie 13-tej do Banowiec do Joszka Tomko. Jozsko okazał się człowiekiem bardzo miłym i bezpośrednim, o antyfaszystowskich przekonaniach. Bez żadnych zastrzeżeń zgodził się na współpracę z naszą organizacją. Wówczas zauważyłem, że wszyscy wokół Joszka bardzo lubią, gdyż był bardzo wesoły i miał wielu przyjaciół.

Jozsko zaproponował abyśmy przez Słowację przejechali pociągiem i podjął się opieki nad nami. W jego towarzystwie byliśmy zupełnie bezpieczni, gdyż jego kolejarzski mundur był pewnym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Pociąg z Banowiec do Medzilaborca odjeżdżał o godzinie 19-tej, więc o godzinie 21-szej byliśmy na miejscu. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami nie weszliśmy do budynku stacyjnego, lecz poszliśmy wzdłuż torów aż do przejścia. Następnie skierowaliśmy się w kierunku wsi Borov, którą pilotowani przez Jozsko poradził nam aby iść obok wsi przechodząc przez rzekę Laborec. Tak też zrobiliśmy.

Przejście przez Laborec nie było trudne, woda sięgała zaledwie do kolan. Po obejściu Habury doszliśmy na drogę wiodącą do Czertyżnego. Tutaj pożegnaliśmy się z Jozkiem i ku granicy poszliśmy sami. Do Rymanowa Zdroju doszliśmy na godzinę 7-mą rano. Bardzo ciężko szło się, zwłaszcza lasem i po północnych stokach. Było tam dużo śniegu, który załamywał się pod naszym ciężarem i przy każdym kroku zapadaliśmy się po kolana.

Wraz z Jasiem Nowakiem udałem się na kwaterę do "Babci", zaś Broniek Przybylski poszedł do swojej siostry. Nazajutrz każdy z nas wyruszył w swoim kierunku. Ja swoją przesyłkę miałem dostarczyć do Warszawy, Broniek do Krakowa a Jasio Nowak oddać księdzu w Miejscu Piastowym. Jasiowi miała towarzyszyć córka "Babci" Ludwisia. Przed wyjazdem umówiliśmy się na sobotę jako dzień powrotu na Węgry.

Przesyłkę w Warszawie oddałem "Marysi" na co otrzymałem pokwitowanie oraz pocztę do doręczenia w Budapeszcie, po czym odjechałem na kilkudniowy wypoczynek do Nowosielec. W sobotę spotkaliśmy się wszyscy u "Babci". Moi koledzy również wykonali swoje zadania.

Do Budapesztu wróciliśmy bez przeszkód, ale wyruszając trzeci raz z Kraju na Węgry byliśmy pełni obaw, bo droga przed nami była niezmiernie ciężka. Około 60 kilometrów pieszej wędrówki przez zaśnieżone góry i lasy i lekko padającym deszczu, to był wręcz nadludzki wysiłek. Licząc się ze szczególnie trudnym marszem wyszliśmy od "Babci" o godzinie 15-tej, mimo iż "Babcia" proponowała przeczekanie u niej fatalnej pogody.

Mimo wszystko nie chcieliśmy odraczać naszego wymarszu na Węgry nawet dlatego, że nie byliśmy stosownie ubrani do takiej pogody. Z Węgier nieśliśmy w naszych plecakach dużo polskich złotych, więc nie było w nich miejsca na zapasowe ubranie, a to był duży błąd, bo kurier bezwarunkowo powinien mieć z sobą zapasową bieliznę i zapasowe ubranie.

Celem pierwszego etapu tej naszej wędrówki była karczma w Wyżnej Czabinie. Tam u gościnnego Żyda karczmarza mieliśmy zamiar odpocząć. Już po kilkunastu kilometrach marszu wyglądaliśmy okropnie. Buty oblepione żółtą gliną ważyły chyba po kilka kilogramów każdy. Z bardzo dużym wysiłkiem zdobyliśmy najwyższy szczyt na naszej trasie dominujący nad wsią Wisłoczek, gdzie chwilę musieliśmy odpoczywać. Wówczas zaczął zapadać zmierzch, więc trzeba było zmniejszyć tempo marszu. Podczas przechodzenia potoku w Woli Wyżnej przewróciłem się i do reszty przemoczyłem ubranie. Szybko wyskoczyłem z lodowatej wody. Przy pomocy kolegów wykręciłem ubranie i z powrotem mokre ubrałem. Zaczęłem trząść się z zimna i szcekać zębami, a przed nami jeszcze około 40 kilometrów marszu. Kiedy zbliżaliśmy się do granicy z emocji zrobiło nam się nieco cieplej.

Wreszcie granica i nie zagłębiając się w las, przeskoczyliśmy szybko przez graniczną polanę i już na terenie Słowacji skryliśmy się w dużym starym lesie. Podczas przechodzenia przez następny strumień, wpadł do wody Bronek. Podobnie jak ja ściągnął z siebie ubranie, wykręcił je i mokre włożył na siebie. Mimo zimna i zmęczenia humor nam dopisywał. Dla humoru powiedziałem wówczas: a więc wynik 1:1 i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Idąc wolno zaczęliśmy się zastanawiać, czy iść dalej, czy wejść do jakiejś stodoły w Haburze i odpocząć. Do Wyżnej Czabiny jeszcze daleko i dwukrotnie trzeba przechodzić przez rzekę Laborec. A może zaszyć się w lesie, rozpałić ognisko i przy nim wysuszyć ubrania? Tak naradzając się na chwile wszyscy usnęliśmy. Ogromne zmęczenie nie dało się przezwyciężyć. Po chwili któryś się obudził i zacząć szarpać pozostałych. Nieco dłuższy bezruch w mokrych ubraniach mógł zakończyć się katastrofalnie. Trudno było nam wstać, mięśnie skostniały, początkowo nie mogliśmy zrobić nawet kroku. Teraz byliśmy zdecydowani na wszystko.

Postanowiliśmy pójść do Habury odległej kilkaset metrów i zapukać do pierwszego domu. Wyjeliśmy pistolety i ostrożnie zbliżaliśmy się do stojących na skraju wsi zabudowań. Bronek zapukał do okna i ze środka odezwał się mocny męski głos: "Kto je to". "Swoj" odpowiedział Bronek. Po chwili drzwi się otworzyły i w drzwiach ukazał się mężczyzna w białym. Był trochę zaskoczony ale przestachu nie było u niego widać na twarzy. Zapytał - "kto wy". Zaczęliśmy mówić, że idziemy z Polski po swoje żony na Węgry. Zapytał jeszcze czy nas nikt nie widział, a uspokojony naszą odpowiedzią zaprosił nas do kuchni.

Obudził następnie żonę, która rozpałiła ogień w piecu i zaczęła szykować coś do zjedzenia. Po posiłku

poszliśmy spać i spaliśmy aż do południa. Obudził nas gospodarz, który chciał z nami porozmawiać i dowiedzieć się od nas czegoś więcej.

Tak z grubsza powiedzieliśmy o sobie to co można było powiedzieć. Gościnnie Słowak nazywał się Paweł Hocz a jego żona miała na imię Ula. Zaczęliśmy się wypytywać czy można tutaj gdzieś wynająć pewnego taksówkarza. Paweł powiedział nam, że owszem jest w Medzilaborcach taki człowiek, któremu można zaufać i nazywa się Andrej Sawulak. Gospodarz powiedział nawet, że może go tu sprowadzić.

Kiedy Paweł Hocz poszedł do Medzilaborca, znów położyliśmy się do snu, z tym że jeden z nas czuwał. Niestety Paweł wrócił z nie pomyślną wiadomością. Sawulaka nie było w domu. Musimy do Malczyc dojechać pociągiem i doradził nam aby do pociągu wsiąść dopiero w Wyżnej Czabinie i ofiarował się nas tam doprowadzić.

W rozmowie z Pawłem Hoczem zorientowaliśmy się, że jest starym przemytnikiem, bo znał sporo ludzi w Woli Wyżnej a nawet w Rymanowie i doskonale orientował się w przebiegu granicy. Kiedy tak gawędziliśmy z Pawłem, na strychu gdzie mieliśmy znakomite posłania z pierzynami, przysłała Ula z synem Andrzejkiem. Ula przyniosła nasze wyprane i wysuszone ubrania a Andrzejek buty za co byliśmy im niezmiernie wdzięczni. Dom Hoczów opuszczaliśmy pojedynczo, udając się w stronę lasu. Kiedy już wszyscy zebraliśmy się w jednym miejscu wyruszyliśmy w stronę Wyżnej Czabiny. Znający teren Paweł poradził nam iść szczytem góry, bo nie było tam już śniegu i marsz będzie lżejszy. Kiedy zbliżyliśmy się do wsi Krasny Brod, Paweł wyszedł na drogę, aby dojść szybciej do Wyżnej Czabiny i przygotować nam, tam kwaterę w karczmie. My zaś omijając wieś, dalej maszerowaliśmy lasem i tak doszliśmy do rzeki Laborec znanym już sobie szlakiem do ruin klasztoru. Rzekę przeszliśmy zdejmując ubrania i buty. Czekał tutaj na nas Paweł.

Okazało się, że nie mamy już czasu zatrzymywać się w karczmie, tylko trzeba iść zaraz na stację. Paweł kupił bilety i przez nikogo nie zatrzymywani wsiedliśmy do pociągu. Staliśmy na korytarzu, pilnie obserwując wsiadających do pociągu. Obawialiśmy się kontroli dokumentów. Na szczęście oprócz konduktora, który sprawdził nam bilety, nikt nas nie niepokoił.

Był już wieczór kiedy dojechaliśmy do Banowiec nad Ondawą. Ku naszemu zdziwieniu na stacji oczekiwał na nas Jozsko Tomko, który bez ogródek powiedział, że był pewny iż właśnie dzisiaj powinniśmy wracać i dlatego wyszedł do tego pociągu. Zaprosił nas do swego domu na kolację, po której postanowiliśmy jeszcze tej nocy pójść na Węgry.

Jozsko zaczął oponować zachęcając nas do dłuższego wypoczynku u niego, lecz widząc nasze zdecydowanie poszedł po taksówkę. Niestety taksówki nie znalazł i do Malczyc musieliśmy iść pieszo. Jozsko postanowił nas odprowadzić, mówiąc że zna strażników granicznych i żandarmów i w razie czego będzie nam pomocny. Byliśmy bardzo zadowoleni z takiego obrotu sprawy, bo rzeczywiście Jozsko nam pomógł. Kiedy szliśmy drogą spotkaliśmy strażnika, którego Jozsko pozdrowił faszystowskim "na straż" i porozmawiał chwilę z nim i bez przeszkód poszliśmy dalej.

W Malczycach zatrzymaliśmy się na krótko w rodzinnym domu Joszki i wyruszyliśmy w stronę Garany. Poszedł z nami teraz Imre aby sprawdzić czy na mostku stoją strażnicy graniczni. Nie było ich, z czego byliśmy bardzo zadowoleni, że chociaż jedna kąpiel w lodowatej wodzie nas ominęła. Szybko pożegnaliśmy się z Imrem i pobiegliśmy przez mostek. Dalej szło się bardzo ciężko, podmokły teren po deszczach stał się w wielu miejscach trudny do przebycia. Co chwilę zapadaliśmy się powyżej kostek w grząskie błoto. Ważne jednak było to, że podczas takiej pogody na granicy nie było strażników i to był jedyny plus.

Przejście przez Ondawę okazało się bardzo trudne, a nawet niebezpieczne. Rzeka wezbrała, prąd stał się silniejszy a my musieliśmy płynąć unosząc nad głowami nasze ubrania. Pocieszaliśmy się tym, że do kwatery w obozie w Garany jest tylko około 500 metrów. Po przepłynięciu ubraliśmy się w jednak zmoczone ubrania i szcękając zębami z zimna szybko maszerowaliśmy w stronę obozu polskich uchodźców.

Po przybyciu do obozu ksiądz Łaski zajął się nami. Natychmiast umyliśmy się i wskoczyliśmy do łóżek i zaraz ogarnął nas sen. Rano spotkaliśmy się z Gezą i Tomkiem. Cieszyli się bardzo, że mimo tak fatalnej pogody udało nam się stosunkowo dość szybko dojść i wrócić z Polski. Mając trochę czasu wyszliśmy na górę i obserwowaliśmy drogę z Malczyc do Garany. Taka nieduża odległość a tyle trudu nas kosztowało jej pokonanie.

Po obiedzie poszliśmy pieszo do Satoraljaujhely a było to około 20 kilometrów. Ksiądz Łaski dał nam adres Polaka pana Skiby, u którego mogliśmy ewentualnie odpocząć. Mimo, że szliśmy dobrą drogą w Satoraljaujhely poczuliśmy się zmęczeni i odwiedziliśmy pana Skibę. Odpoczęliśmy tam nieco i do Budapesztu dojechaliśmy w doskonałej formie w świetnych humorach.

Do Donati utca przyjął nas kapitan Jasiewicz "Redaktor" i "Kordaj" czyli Franciszek Mazurkiewicz. Zdaliśmy relację z przebiegu wyprawy do Polski. Nasi przełożeni byli bardzo zadowoleni ze znalezienia kwatery w Haburze, ale polecili nam jeszcze sprawdzić ją bardzo dokładnie. Trasa ta została naniesiona na mapę. O tym, że otrzymała kryptonim "Jaga" dowiedziałem się znacznie później. Mieliśmy jeszcze raz wspólnie pójść do Kraju i dokładnie posprawdzać wszystkie kwatery i meliny. Na razie dostaliśmy po parę pengo na utrzymanie i skierowanie do pensjonatu Krakowitsch, oczywiście na fałszywe nazwiska.

Tym razem nazywałem się Gackowski i urodzony byłem we Lwowie. Znowu musiałem uczyć się na pamięć całej metryki. Zameldowaliśmy się u właścicielki pensjonatu, miłej i dystyngowanej pani. Otrzymaliśmy ładny i bardzo czysty trzy osobowy pokój, potem poszliśmy do restauracji aby coś zjeść i pożegnać się z Bronkiem, który miał już chodzić oddzielnie.

Spotkaliśmy tam wielu kurierów chodzących przez Tatry. Byli tam Jasio Bobowski, Staszek Marusarz, Jasiak Marusarz, Władek Roj-Gąsienica, Józek Krzeptowski, Staszek Frączysty i inni. Jednym słowem cała góralska republika. Wszyscy oni bardzo ciężko pracowali na tatrzańskich kurierskich trasach a teraz odpoczywali po trudach.

Zaraz oczywiście znalazła się butelka wina, bo jak powiedział Józek Krzeptowski "skoro my się spotkali z kolegami ceprami jako kurierami to napić się trza". W ten sposób zostaliśmy przyjęci do ich towarzystwa co

nam bardzo pochlebiało. Posypały się opowieści o przygodach na kurierskich szlakach. Poczuliśmy się bardzo żywą grupą przyjaciół i w najlepszej komitywie udaliśmy się na wspólną kolację.

Następne kilka dni spędzaliśmy z Jasiem Nowakiem na spacerach po Budapeszcie. Szczególnie nam się podobała wyspa Małgorzaty z luksusowymi hotelami i kawiarniami. Trudno nam było się pogodzić z tym że tutaj ludzie spacerują spokojnie i radują się życiem, śmieją się i odpoczywają w cieniu pięknych drzew, a na naszej polskiej umęczonej Ziemi panuje strach i terror i aresztuje się ludzi tylko za to że są Polakami.

Podczas tych spacerów Jasio zwierzył mi się, że chciałby wyjechać do polskiej armii i prosił mnie abym o tym porozmawiał z szefem. Obawiał się że posadzą go o tchórzostwo. Zrozumiałem jego wątpliwości i pragnienia i przy najbliższej sposobności porozmawiałem z szefem na ten temat. Wyraził oczywiście zgodę ale pod warunkiem, że jeszcze dokładniej ugruntujemy naszą trasę i przeszkolimy naszych kurierów.

Żał mi było rozstawać się z Jasiem Nowakiem, bo bardzo go lubiłem, bowiem razem służyliśmy w 6-tym pułku strzelców podhalańskich w Samborze.

Do ostatniej wspólnej wyprawy przygotowywaliśmy się jak zwykle bardzo starannie. Tym razem mieliśmy zanieść po milionie złotych i pocztę ukrytą w lusterku. Ja otrzymałem kontakt w Warszawie zaś Jasio w Krakowie. Przed wyjazdem wręczono nam słowackie korony i polskie złotówki na opłacenie kosztów podróży, a w Towarzystwie Opieki nad Polskimi Uchodźcami od pana Domiczka fikcyjne skierowania do obozu w Garany. Takie skierowanie pozwalało nam bez żadnego ryzyka dojechać do granicy ze Słowacją. Otrzymaliśmy też bezpłatny bilet i pociągiem dojechaliśmy bez przeszkód do Satoraljujhely. Tam poszliśmy do pana Skiby aby nas skontaktował z taksówkarzem Skorupskim, który by nas podwiózł do Garany. Mimo iż mieliśmy skierowanie do obozu, nie chcieliśmy się zbyt często bywaliśmy w tych stronach.

Ksiądz Łaski w obozie w Garany zdziwił się naszym nieco wcześniejszym przyjazdem. Żartowaliśmy, że kuriera też czasami stać na taksówkę. Wkrótce przyszli Geza i Tomko, ale miny mieli nie szczególne. Zapytałem ich czy coś się stało? Tomko wyjaśnił mi, że u jego krewnych w Malczycach zamieszkał jeden ze strażników granicznych i kwatera jest już nie pewna. Zmartwiło to nas trochę, ale Geza powiedział, że jest jeszcze pewna kwatera u Joszka w Banowcach, kilka kilometrów dalej, więc problemu nie ma. Po tym stwierdzeniu uzgodniliśmy, że przecież droga na Banowce jest bezpieczniejsza. Zarówno idąc na Malczyce jak i na Banowce trzeba było przejść przez największą przeszkodę jaką jest rzeka Ondawa.

Tym razem Geza i Tomko nie mogli iść z nami więc byliśmy zdani wyłącznie na nasze siły własne. Wydawało się nam, że już dobrze znamy drogę, ale wyszło inaczej. Kiedy trzeba było nieco zboczyć z zapoznanej przez nas drogi, bo usłyszeliśmy głośną rozmowę w języku słowackim, mieliśmy potem duży kłopot jak trafić na nią z powrotem. Skręciliśmy w prawo od wału rzeczno, ale po chwili marszu okazało się, żeśmy się pomylili. Było już za późno aby wracać nad Ondawę więc musieliśmy iść naprzód. Przez to zbliżyliśmy się do jakiejś wsi, psy wyczuły naszą obecność i zaczęły głośno ujadać.

Zastanawialiśmy się gdzie jesteśmy i wtedy przyszła nam z pomocą słowacka kolej. Usłyszeliśmy stukot



pociągu i gwizd lokomotywy, a ponieważ poznaliśmy dobrze przebieg linii kolejowej w tej okolicy, stwierdziliśmy, że jesteśmy w pobliżu wsi Petrykowce leżącej około trzech kilometrów od Banowiec.

Nie namyślając się zbyt doszliśmy szybko do szosy i idąc bardzo wygodnie, po pół godziny byliśmy przed domem Joszka. Kiedy zapukaliśmy do okna, Joszko szybko otworzył. Poprosiliśmy go aby jak najprędzej poszedł po taksówkę, bo mamy bardzo ważną pocztę i jeszcze dziś musimy przekroczyć granicę polską. Joszko szybko się ubrał i obiecał z nami pojechać.

Po około pół godziny usłyszeliśmy charakterystyczny warkot "Tatry". To Joszko podjechał pod dom taksówką i za chwilę wszedł do mieszkania z bardzo zadowoloną miną mówiąc "taksa gotowa". Szybko zajęliśmy miejsca w samochodzie. Ja usiadłem przy kierowcy a Jasio i Joszko z tyłu. Byłem bardzo zdenerwowany kiedy przejeżdżaliśmy przez Michalowce i Humenne i mimo woli ścisnąłem rękę pistoletu. Nie spotkaliśmy po drodze żadnych patroli i udało się nam przejechać bez zatrzymania. Żegnając się z kierowcą poprosiliśmy aby czekał na nas koło ruin klasztoru w Wyżnej Czabinie w niedzielę o godzinie 18-tej.

Wysiedliśmy około 3 km za Haburą tuż przed granicą. Szybko oddaliliśmy się od drogi idąc wzdłuż Potoku i bardzo ostrożnie, kryjąc się w lesie doszliśmy do granicy. Jak zwykle ucałowaliśmy polski graniczny słupek a wokół panowała niczym nie zmacona cisza i spokój. Po dłuższej obserwacji terenu zaczęliśmy schodzić na polską stronę.

Znowu trochę pomyliliśmy trasę ale nie zważając na to szliśmy prosto na północ. W lesie natknęliśmy się na bagna więc musieliśmy nadłożyć kilka kilometrów. Dalej szło się ciężko, trzeba było forsować duże zwalone pnie. Wkrótce jednak las się skończył i na otwartej przestrzeni zorientowaliśmy się, że za bardzo zboczyliśmy na wschód, ale po pół godziny znowu byliśmy na swoim szlaku.

Już świtało kiedy minęliśmy las "Szachty". Byliśmy już daleko od granicy i niebezpieczeństwo spotkania się ze strażą graniczną malało. Zwolniliśmy tempo marszu i tak idąc zupełnie powoli minęliśmy Polany Surowiczne, Wisłoczek i Wołuszową. Nie chcąc przechodzić przez Rymanów Zdrój znowu schroniliśmy się do lasu i około godziny 12-tej w południe zameldowaliśmy się na kwaterze u "Babci". Nasza podróż z Budapesztu trwała 22 godziny. Był to doskonały czas licząc, że podróżowaliśmy bez paszportu i ponad 30 km pieszo.

Po krótkim odpoczynku syn "Babci" Jakub podwiózł mnie końmi do Nowosielec a Jasia do Zarszyna. Konie były pożyczone a na furmankę zgodnie z moją prośbą położono dużo słomy. Ukryliśmy w niej nasze plecaki a przed Zarszynem ja sam zagrzebałem się w słomie aby nikt z moich ziomków mnie nie poznał. Jasio wysiadł w Zarszynie i udał się na kwaterę do moich rodziców, ja zaś wysiadłem na szosie przed Nowosielcami i klucząc ostrożnie po polnych ścieżkach zbliżyłem się do domu państwa Małków, gdzie zostałem mile powitany.

Pieniądze zostały ukryte w skrzyni ze zbożem a większość czasu spędziłem później na niekończących się rozmowach. Moi gospodarze byli bardzo ciekawi wiadomości z zagranicy. Na drugi dzień odprowadzony

przez Jadzię Małkównę wsiadłem do pociągu udając się do Warszawy.

W Warszawie poszedłem pod wskazany adres i po podaniu hasła oddałem pieniądze otrzymując pokwitowanie. Tam dano mi polecenie abym czekał na bardzo ważną pocztę. Otrzymałem tymczasową kwaterę gdzie czekałem na pocztę trzy dni. Przebywając w Warszawie chodziłem po mieście pilnie obserwując zachowanie się Niemców w Warszawie. Drażniła mnie ich buta, zachowywali się tak jakby byli w Berlinie.

Otrzymawszy pocztę pojechałem do Krakowa nocnym pociągiem. Podczas jazdy było dość spokojnie, nie było żadnych kontroli i nawet odważyłem się pójść do wagonu restauracyjnego zjeść kiełbaski. Do Nowosielec wróciłem następnego dnia wieczorem.

Po całym dniu odpoczynku poszedłem z zapadnięciem zmroku do Zarszyna odwiedzić rodziców. Rozplakali się na mój widok. Mamusia zaczęła mnie namawiać do pozostania w domu i zrezygnowania z tułaczki po obcych krajach. Musiałem ją przekonywać, że moim świętym obowiązkiem jest walka z okupantem a moja tułaczka jest właśnie taką walką. Moje tłumaczenia nieco poskutkowały. Mamusia przestała płakać i tylko prosiła abym bardzo uważał na siebie.

Jak przewidywałem, moja siostra Irena również chciała walczyć i nam pomagać. Towarzyszyła Jasiowi w podróży do Krakowa, z czego był bardzo zadowolony. Mówił że czuł się w jej obecności bezpieczniej. Żegnając się z rodzicami, byłem bardzo wzruszony. Matka płakała i powtarzała parokrotnie, że nie wiadomo czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

Następnego dnia wieczorem pojechaliśmy do Posady Górnej na kwaterę do "Babci" a nazajutrz o godzinie 16-tej wyruszyliśmy na Węgry. Odprowadzała nas jak zwykle Ludwisia córka "Babci", z którą pożegnaliśmy się koło kapliczki w pobliżu wsi Wisłoczek. Dalej już we dwójkę maszerowaliśmy w kierunku granicy słowackiej. Szliśmy dość wolno i robiliśmy długie odpoczynki, gdyż do lasu "Szachty" chcieliśmy dojść już po zmierzchu.

Kiedy odpoczywaliśmy w zagajniku koło drogi z Woli Wyżnej do Moszczańca usłyszeliśmy kroki jakby skradające się w naszym kierunku. Wyjęliśmy pistolety i spokojnie czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Kroki ucichły, ale po chwili zaczęły się znowu przybliżać. Nie chcieliśmy używać broni bo zbyt blisko była droga.

Szepnąłem tylko Jasiowi do ucha, że się wycofujemy i wycofaliśmy się spokojnie i cicho przez nikogo nie zauważeni. Kim był ten osobnik nie wiadomo. Podeszliśmy bliżej wsi Wola Wyżna, ale psy we wsi tak wściekle ujadły, że zmuszeni byliśmy obejść jak najszybciej tę niegościnną miejscowość. Niebawem okazało się, że decyzja nasza była słuszna. Usłyszeliśmy właśnie rozmowę, na skutek czego zmuszeni byliśmy ukryć się w przydrożnych zaroślach.

Dwóch mężczyzn idąc rozmawiało i mówili, że we wsi była obława i że kogoś aresztowano. A więc możliwe, że skradające się kroki należały do kogoś z obławy. Szybko ruszyliśmy ku granicy, bo tu było bardzo niebezpiecznie. Na samej granicy było jednak bardzo spokojnie. Odpoczęliśmy po stronie słowackiej i po krótkim marszu zapukaliśmy do okna Pawła Hocza. Znowu usłyszeliśmy pytanie "Kto je to?"



Odpowiedzieliśmy niemal równocześnie "my".

Paweł otworzył drzwi i zobaczywszy nas omal nie zemdleł z wrażenia. Co się stało, że znowu jesteście? zapytał. Odpowiedziałem, że byliśmy już w Polsce i znów idziemy na Węgry aby przyprowadzić siostry naszych żon. Paweł jednak był inteligentnym człowiekiem i od razu zorientował się, że coś kręcimy. Powiedział abyśmy przestali kłamać, bo on nas rozumie. Obudził swoją żonę i kazał jej przygotować dla nas posiłek. Pani Ula zobaczywszy nas przeżegnała się i zapytała podobnie jak przedtem jej mąż, co się stało. Zateśniłem za wami i dlatego przyszedłem, zażartowałem i wszyscy się roześmiali. Paweł jak za pierwszy razem, wyciągnął butelkę rumu i poczęstował nas po pełnej szklance. Po chwili rozmowy, poprosiłem Pawła do pokoju i powiedziałem mu, że w sprawach bardzo ważnych chodzimy z Węgieł do Polski i bardzo nam odpowiada jego dom jako kwatera dla nas.

Paweł zgodził się na współpracę, ale zastrzegł sobie, że w razie wsypy on widzi nas po raz pierwszy. A gdyby nas nakryli podczas snu na strychu, on będzie udawał, że nawet nie wie skąd myśmy się tam wzięli. Oczywiście zgodziliśmy się na takie warunki. Po zjedzeniu smacznej jajecznicy poszliśmy na strych i spaliliśmy tam aż do południa. Po obiedzie, pojedynczo opuściliśmy gościnny dom Hoczów i po trzech godzinach marszu znaleźliśmy się koło ruin klasztoru w Wyżnej Czabinie.

Już z daleka widzieliśmy oczekującą na nas taksówkę. Kierowca podniósł maskę do góry, symulując defekt motoru. Przyspieszyliśmy kroku i po przejściu rzeki Laborec zbliżyliśmy się do samochodu, gdzie czekała nas jeszcze jedna niespodzianka. Z taksówki wysiadł uśmiechnięty Jozsko Tomko. Przywitanie nasze było bardzo serdeczne i szczerze.

Podczas przejazdu przez Słowację Jozsko powiedział nam, że strażnik graniczny mieszkający w domu jego rodziców w Malczycach, to całkiem przyzwoity człowiek i myśli tak samo jak każdy porządny Słowak, to znaczy nienawidzi faszystów i tęskni do republiki. Na pewno nie będzie nam przeszkadzać, a może nawet pomóc. Te słowa Jozzka bardzo nas ucieszyły, bo była to dobra wiadomość. W Banowcach zatrzymaliśmy się tylko na krótko, bo Jozsko zaprosił nas do swego domu na poczęstunek, po czym pojechaliśmy do Malczyc. Strażnika nie zastaliśmy w domu bo właśnie miał służbę na mostku przez który wiódł nasz szlak. Zmartwiliśmy się tym, ale Jozsko powiedział, że żadnej kąpieli nie będzie. Postawił na stół butelkę wódki i wysłał Imrego po strażnika.

Imre miał mu powiedzieć, aby przyszedł bo Jozsko ma mu coś ważnego do powiedzenia. Po niedługim czasie wrócili obaj. Strażnik był bardzo uprzejmy i patrzył na nas z pewnym szacunkiem. Widać było że Jozsko już coś z nim o nas mówił. Wypiliśmy kilka kieliszków wódki i wtedy strażnik pokazał swe prawdziwe oblicze. Zaczął kląć na słowackich faszystów z księdzem Tisem na czele, a potem zapewnił, że możemy liczyć na jego pomoc. Wówczas pożegnaliśmy się szybko i wzięwszy plecaki pomaszzerowaliśmy ku granicy.

Na mostku oczywiście nikogo nie było, więc o jedną kąpiel było mniej. Ponieważ przez poprzednie dni była ładna pogoda, łąki obeschły i marsz był całkiem przyjemny i dość szybko doszliśmy do Garany. Gorzej było z dalszą podróżą. Nie mieliśmy żadnych dokumentów zezwalających na poruszanie się w strefie

przygranicznej.

Postanowiliśmy więc drogę do Satoraljaujhely przebyć pieszo.

Podczas tego marszu, z daleka zauważyliśmy patrol "kogutów" wobec czego trzeba było się ukryć w pobliskim lesie. Kiedy przeszli, marsz kontynuowaliśmy dalej. W Satoraljaujhely mieliśmy sporo czasu do odjazdu pociągu do Budapesztu, więc wstąpiliśmy do pana Skiby. Wieczorem odprowadził on nas na stację kolejową i kupił nam bilety 1 -szej klasy. Podczas jazdy pociągiem nie byliśmy przez nikogo kontrolowani i szczęśliwie dojechaliśmy do Budapesztu.

Prosto z pociągu udaliśmy się do naszej placówki na Donati utca gdzie złożyliśmy bardzo szczegółowe sprawozdanie z przebiegu wyprawy i oczywiście oddaliśmy pocztę z Polski. Nasz szef uważnie słuchał naszego sprawozdania i widać, że bardzo był zadowolony z utrwalenia naszej trasy "Jaga". Szczególnie podobało mu się pozyskanie przez nas do współpracy słowackiego strażnika granicznego w Malczycach. Przy okazji polecił nam o tym wszystkim powiadomić Bronka Przybylskiego, który wkrótce miał iść do Kraju.

Ponieważ otrzymaliśmy skierowanie do tego samego pensjonatu w którym mieszkał Broniek, więc nie było to trudne. Po kilku dniach zostałem wezwany do "Redaktora", który powiedział mi, że teraz każdy z nas samodzielnie będzie wykonywał swoją pracę. Otrzymaliśmy też do przeszkolenia nowych kandydatów na kurierów. Trzeba ich będzie dokładnie przeszkolić i zaznajomić z trasą i melinami.

Polecono mi też przygotować się do następnego rejsu. Moim nowym towarzyszem miał być Góral. Bardzo mnie to ucieszyło, bowiem znałem już wielu świetnych kurierów - Górali. Pożegnałem się z Jasiem Nowakiem, który jeszcze jakiś czas chodził do Kraju a potem wyjechał na Bliski Wschód. Dostawałem od niego listy. Walczył pod Tobrukiem i Monte Cassino. Potem kontakt się urwał.